

Od autora: Znacie jakichś hikikomorich? A może tylko o nich słyszeliście? To zjawisko w Polsce występuje sporadycznie, w przeciwieństwie do Japonii i USA. Pojawia się tam, gdzie system oczekiwań społecznych staje się zbyt wysoki. Myślę, że niedługo do nas zawita, już słysząc ciche pukanie...

Facet siedzący przy biurku jest mlecznobiałą plamą.

Prawdopodobnie wbija we mnie uważne spojrzenie.

Opuszczam głowę niżej, badam kafelkowy wzór podłogi.

Niedobrze, muszę się postarać.

Chrząka, a potem szeleści jakimiś papierami.

Podnoszę wzrok i spostrzegam zarys męskich dłoni odbity w chromowanej tafli biurka. Nie chcę ich oglądać. Wracam do kafelków.

Świat jest niebezpieczny, kontakt jest niebezpieczny, ludzie są niebezpieczni. Nieustannie czegoś chcą, jak krety drążą sieć wymagań. Wrzucają w tunele granaty oczekiwań, schematów, kanonów, które wyburzają, rozrywają. Wciąż drążą nowe i nowe. Tresują jak zwierzę.

Chcę do siebie, do łagodnego światła ekranu komputera i kojącego dotyku klawiatury.

Dlatego muszę się postarać.

Z największym wysiłkiem odrywam spojrzenie od podłogi i kieruję na mężczyznę. Próbuje rozciągnąć usta w kształt podstawowej formy komunikacji społecznej – uśmiechu.

Muszę utrzymać ten grymas, przynajmniej przez kilka sekund. To jedyna droga powrotu.

Raz,

dwa...

Trzy...

- Pamiętasz, co napisałeś o sobie?
- Tak.
- Chciałbyś coś dodać?
- Chyba nie.
- Wiesz, o czym będziemy rozmawiać?
- O mnie. I hikikomori.
- Zgadza się. Jesteś gotowy?
- Tak.
- Dobrze. Zobaczmy, co tu mamy...

"Nazywam się Takahiro Yasuko. Od dwóch lat nie wychodzę z pokoju.

Nie pamiętam, jak wyglądają ulice miasta. Ich zgiełk, światła połyskliwych neonów, szum silników samochodowych, gwar ludzkich głosów i nieustannie dźwięczących telefonów dawno pozostał za mną. Wyrzuciłem go z siebie. Nie istnieje.

Ostatni raz widziałem człowieka dwa lata temu. To była moja matka.

Spotkaliśmy się przed łazienką, w gorącą letnią noc. Poczułem pełznące po stopach macki lęku zmieszanego z obrzydzeniem, które pojmały mnie, opłotły zimnym uściskiem i stanąłem w bezruchu, patrząc jak na przemian zamyka i otwiera usta. Wylewała z siebie potok bezgłośnych słów, a jej twarz traciła kontur, rozpyływała się, aż w końcu znikła. To dobrze.

Nadal jestem winien matce bezwzględny szacunek i będę go celebrował do końca życia, mimo że nigdy matki nie miałem. Przynajmniej takiej, jak europejskie – pełnej łagodności, czułości i oddania, zapewniającej syna, że jest dobrym, wartościowym człowiekiem. Takie matki kochają bezwarunkowo. Moim udziałem stała się *kyōiku mama**, twór, którego bogiem jest edukacja.

Ona, jego niewolnica, drobna kobieta o włosach tak ciemnych, że aż wpadających w granat, po której spodziewałbym się łagodności subtelniejszej niż trzepot motyli skrzydeł i delikatności równej kwiatom wiśni, z nieubłaganym uporem ćwiczyła mnie, bym został wzorowym żołnierzem *kyōiku shakai** – armii społeczeństwa opartego na edukacji.

Słabość umysłu dziecka godzi w honor rodziny. Sprowadza ukradkowe, wymowne spojrzenia, sączy wy-

razy współczucia, otula smutkiem równym żałobie. Wyrzuca poza nawias. Nie chodzi o to, by zdać. Trzeba być najlepszym lub przynajmniej utrzymać się w pierwszej piątce. Wszyscy tak robią, to oczywiste, dlatego każda chwila życia musi być wykorzystana. Musisz uzyskiwać wysokie noty, by dostać się na studia. Studia są po to, by zakończyć je świetnym wynikiem, to gwarantuje dobrą pracę. Praca zaś – by być w niej najlepszym. Nie ma marnotrawstwa czasu ani chwil wytchnienia.

Kyōiku mama jest zawsze pomocna w planowaniu przyszłości. Nigdy nie odpuszcza.

Dwa lata temu, w wieku osiemnastu lat, ukończyłem *kōtōgakkō*, szkołę średnią wyższego stopnia. Pamiętam ją, jako wyczerpującą drogę składającą się z nieustannej dyscypliny, niezliczonych powtórek materiału, ciągnących się zajęć szkolnych, popołudniowych treningów w klubach artystycznych i sportowych, a w końcu wieczornych lekcji w prywatnym *juku*, szkole uczącej strategii rozwiązywania testów egzaminacyjnych na studia.

To rodzaj przygotowania do obrzędu, podobnego do praktykowanych przez afrykańskie plemiona, zmieniającego chłopca w mężczyznę z tą różnicą, że przerażonego, ledwie piśmiennego dzieciaka zastępuje wyedukowany uczeń, a ból fizyczny towarzyszący rytuałowi zamieniono na cierpienie umysłu zmuszającego do wysiłku powyżej jego zdolności.

Matka konsekwentnie prowadziła mnie ku męskości.

Codziennie rano wręczała mi *ōbento*, pudełko z laki z drugim śniadaniem składającym się z kilku potraw starannie skomponowanych kolorystycznie według obowiązującego kanonu: biały, brązowy, zielony i różowy. Rzygam tymi kolorami, ale wtedy nie zwracałem na nie uwagi, zresztą *ōbento* wszystkich uczniów wyglądało podobnie. Tak samo, jak szkolne mundurki. Byłem częścią jednorodnej, potężnej masy: żadnych odstępstw od schematu, żadnego indywidualizmu godzącego w dobro grupy, która powinna być dla młodego człowieka jedynym punktem odniesienia.

Dzień po dniu, jak w zapętlonej rzeczywistości, wychodziłem z domu przed ósmą i wtapiałem się w nurt płynących ulicą identycznych białych koszulek, granatowych płóciennych spodenek, dziewczęcych plisowanych spódniczek oraz podkolanówek. Potem, w szkole średniej, zamieniłem białą koszulkę na formalny *gaku ran*, szkolny mundur – ciemny, ze sztywnym kołnierzykiem i srebrnymi guzikami.

Poza tym nic się nie zmieniło, więc nosiłem go z szacunkiem, mimo że wysysał ze mnie życie, zmuszając do powrotu z *juku* po północy i przypominał, że pozostały jeszcze do odrobienia prace domowe na dzień następny.

Gdy byłem tak wyczerpany, że zasypiałem na stojąco, mogłem rano zostać w domu, a matka szła do szkoły. W trosce o moją przyszłość siadała w osobnej ławce na końcu sali lekcyjnej i cierpliwie notowała treść wszystkich zajęć. To samo robiła, gdy byłem chory i zapewne postępowałaby podobnie, gdybym nagle w akcie szaleństwa odmówił chodzenia do szkoły.

W domu pilnowała, by nic nie zakłócało ciszy, gdy uczyłem się do egzaminów na studia. Jej obsesja nie sięgnęła tak daleko, jak pewnej matki, która zabiła córkę sąsiada ćwiczącą nieustannie na skrzypcach, bo przeszkadzała synowi w nauce, chociaż sędzę, że byłaby do tego zdolna.

W końcu stanąłem na progu męskości. Nie przypadkiem mówią o nim *shiken jigoku* – „piekło egzaminów”. Niewiele pamiętam z tego okresu, choć wiem, że na pewno byłem w piekle.

Zawiodłem. Nie zdałem.

Stałem się tym, co nazywają *rōnin* – samurajem bez swojego pana, niezasługującym na większy szacunek niż zwykły włóczęga; człowiekiem fali, która uniosła go z dala od uczęszczanych szlaków, bo nie umiał jej pokonać. Wyrzutkiem.

Różnie ludzie reagują. Niektórzy popełniają samobójstwo. Ja zamknąłem na klucz drzwi swojego pokoju.

Początkowo wychodziłem tylko na posiłki i do łazienki. Unikałem spotkań z matką. Nie miałem jej nic do powiedzenia. Całymi dniami surfowałem po Internecie, czytałem, oglądałem filmy i słuchałem muzyki. Odkryłem inny, lepszy świat. Rozkwitałem w nim, zapadałem się w ciepłym bezpieczeństwie braku oczekiwań. Prawdziwe życie nie było mi już potrzebne.

W końcu odmówiłem uczestniczenia w posiłkach. Wtedy matka zaczęła podstawiać mi pod drzwi tacę z jedzeniem. Zabierałem ją nocą, gdy byłem pewien, że z cienia korytarza nie dobiegnie melodyjny głos, przypominający, że w ciągu najbliższego roku powinienem uczęszczać na specjalne kursy doszkalające, których zaliczenie jest warunkiem ponownego przystąpienia do egzaminów.

Skutkowało. Czułem się bezpieczny do czasu, gdy spotkałem matkę przed łazienką. Nigdy więcej nie odebrałem przyniesionej przez nią tacy.

Przestałem wychodzić z pokoju. Zasłoniłem okno i widok na rozciągający się za nim idealny ogród w stylu *karesansui* – surową przestrzeń bez drzew, kwiatów czy krzewów, wypełnioną rzadkimi, imitującymi wyspy płaszczyznami mchu, na które narzucono głązy opływane przez fale starannie zagrabionego piaskowego morza. Gdy na nie patrzyłem, czułem się jednym z niezliczonych ziaren kwarcu.

Od tamtej pory uchylałem okno tylko wieczorem, by zabrać z tarasu torby z jedzeniem zamówionym przez Internet.

W moim pokoju zaczęły piętrzyć się sterty kartonowych pudełek, butelek po napojach, plastikowych kubków, tworząc swoistą przestrzeń, w której w końcu poczułem się u siebie. Z czasem powietrze przeniknęła kwaśno-mdła woń, będąca mieszaniną odoru rozkładających się resztek żywności, brudnych ubrań, bielizny, niemytego ciała i fekaliów, którymi wypełniałem opakowania po jedzeniu i napojach.

Wieczorem uchylałem okno tarasowe tylko na czas potrzebny do wykonania dwóch szybkich ruchów: wciągnięcia do środka torby z jedzeniem jedną ręką, podczas gdy druga w tym czasie usuwała nieczystości. Zawsze znikwały, pewnie sprzątane przez matkę. Czasem obok torby z jedzeniem leżał stos równo ułożonych, czystych ubrań. Starałem się ich nie dotykać, bo to oznaczałoby kontakt.

W upalne dni wodą chłodziłem się wodą butelkową wylewaną wprost na ciało. Jakakolwiek higiena była mi zbędna, ale z konieczności nauczyłem się obgryzać paznokcie, Te u nóg też, gdy zaczęły wrastać w skórę.

Czas przestał płynąć. Istniałem. Po prostu.

Potem odkryłem, że nie jestem w pokoju sam.

Pojawiły się głosy. To musiały być demony. Zakleiałem szyby kolorowymi gazetami, bo demony nienawidzą barw. Uwielbiają odcienie *gaku ran*. Zmuszały mnie do wyjścia. Odmówiłem. Za karę zrobiły coś

z moim ciałem. Stało się cienkie, wręcz pergaminowo białe, swędzące. Siedząc w kucki, w kącie pokoju, całymi godzinami drapałem się po nogach, plecach, tułowi, twarzy, aż skóra naznaczała się czerwonymi pręgami.

Opierałem się demonom, lecz w końcu przegrałem. Dopadły mnie. Rozwaliły drzwi i porwały. Straciłem przytomność.

Gdy ją odzyskałem, powiedziano mi, że jestem w londyńskiej klinice. Przebywam tu od dwunastu miesięcy.

Nie ma już demonów, wróciła przestrzeń i słowa.

Jestem zdrowy”.

– Dobrze. – Lekarz z namysłem odkłada kartki. Patrzy. Wiem, że chce spenetrować moje myśli.

Uśmiechnąć się. Raz, dwa, trzy...

– Pisałeś o przeszłości – mówi cichym, równym głosem, brzmiącym jak śpiew wody spływającej po kamieniach. – Ona minęła. Teraz postaraj się myśleć o tym, co będzie. Zamknij oczy i spróbuj zobaczyć siebie za dziesięć lat. Opisz, co widzisz wokół. Czy są tam ludzie? Wiesz, gdzie to jest?

W Tokio. W domu z widokiem na piaskowe morze. Oto moja przyszłość.

Zgadniesz, doktorku, jaka?

* *kyōiku mama* – dosł. „matka edukacyjna”. Kobieta stawiająca sobie za cel życia wykształcenie dziecka – wszechstronne i na najwyższym poziomie, niezależnie od jego możliwości.

* *kyōiku shakai* – dosł. społeczeństwo edukacyjne, ceniące wykształcenie jako wyznacznik wartości człowieka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 06.03.2015 20:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.